№ 17.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Naglowic.

ROK 1845. Poznań, dnia 18. Sierpnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

PODRÓŻ
po krajach Skandynawskich

przez
JĘDRZEJA MORACZEWSKIEGO.

Götheborg 27. Lipca 1845.

W dawniejszych moich podróżach nigdy nie prowadziłem dziennika, ani nawet nierobiłem żadnych notatek: było to niejako moją zasadą, która może pochodziła z lenistwa, a wiadomo, że lenistwo bywa u ludzi źródłem bardzo wielu zasad. I w téj podróży trzymałem się zrazu téj dawnéj zasady, ale przypomniawszy sobie, że obiecałem kilku osobom raz po raz dać z drogi wiadomość, że druk wynaleziono na to, aby jednéj rzeczy kilka razy nie przepisywać, że pisma poznańskie wszyscy moi korrespondenci czytają, że tym pismom często brakuje artykułów, od któréj to choroby i Dziennik Domowy nie zawsze wolny, zmieniłem znowu zasadę, bo wolno i trzeba zmieniać zasady z lenistwa pochodzące. O podróży przez Pomorze Szczecińskie cóż powiedzieć? Wilcy, Lutycy, Obotryci, byli Słowianie, kochali swą ziemię, bili się tęgo, jednakże przeminęli, ani jeden dla osobliwości wśród niemieckich kolonistów niepozostał. I czemuż przeminęli? prosta odpowiedź, bo niechcieli iść z duchem czasu, bo zamiast chwytać się cywilizacyi, która podnosiła pojedyńczego czowieka i całą ludzkość, przestrzegali spróchniałych obyczajów, pilnowali interessu pojedyńczych rodów, mieli na oku tylko materyalne korzyści, żyli ciałem, a nie żyli duchem. Niech mówią co chcą ci wszyscy, co tylko na samym przemyśle, a właściwie na pieniędzach, jadle i piciu chcą ludzkość odnowić, ale tego nie zaprzeczą, że jak pojedyńczy człowiek, tak i ludzkość, składa się z duszy i ciała; te narody, co w niéj stanowią samo ciało, przemijają; te, co stanowią duszę, jeżeli je za śmiertelne uważamy, to są zawsze nieśmiertelności najbliższe. Niemożna powiedzieć, żeby w naszym narodzie nie było ducha, i dla tego przykład Wilków i Lutyków, nie obudzał we mnie żadnéj smutnéj myśli. Szczecin piękne miasto, uderzyły mnie w nim wielkie kościoły, miałem je zamiar oglądać, ale jak odczytałem w książce doręcznéj dla podróżnych, że jeden według najpewniejszych świadectw zbudowany r. 1124. po Chr., a ja przypomniałem sobie dobrze z biografii Śgo Ottona, że tam w tym roku tylko lichą budę do nabożeństwa postawiono naprędce, którą pomorskie pokolenia raz po raz z ziemią zrównały, tak mnie zaraz odstąpiła ochota do zgłębiania architektury średniowiecznéj, a wpadłem w dumania, czém to téż dzisiaj jest jeszcze historya, ale że przecie tak na zawsze nie pozostanie. Z nikczemnéj pochlebnicy, z kobiety, co frymarczy własném ciałem, wyjdzie ona na boginią, na rodzoną siostrę prawdy. Rozumie się, że nie samo kłamstwo o kościele szczecińskim, ale tysiące innych haniebnych szkodliwych dla ludzkości stanęło mi na myśli. Z Szczecina dźwigał nas tedy statek duński Geiser, który z okrętu wojennego dla zatrudnienia oficerów, dla wprawy majtków, dla zarobienia na siebie przez lato występuje po cywilnemu. Dzień był prześliczny, w nocy świecił księżyc, minęliśmy kilka wysepek, kredowe bielejące skały wyspy Rugii, widzieliśmy opodal kilka

latarni morskich, mało ptastwa wodnego, spaliśmy w prześlicznych gabinetach, choć niesłychanie kołatały dwie machiny parowe, razem o sile 212 koni, a z komina nietylko gęsty dym, ale płomień buchał. Nigdym z taką przyjemnością morza nie przebywał. Inny porządek, gdzie karność wojskowa; zawsze stał oficer na balkonie o mosiężnych poręczach nad pokładem, zmieniali się godzinami majtkowie, kierownicy machin, sternicy. Zgoła większe bezpieczeństwo jak w domu słabo murowanym, jak w każdéj chałupie wiejskiéj podczas wiatru. Nawet kołysania czuć nie było. Dwa konie, któreśmy w Swinemünde wysadzili, stały w swoich klatkach tak spokojnie, jak w stajni. O pierwszéj z południa ruszyliśmy ze Szczecina, a o dziesiątéj nazajutrz rano, byliśmy już przy cytadelli, wysuniętéj na maleńkiéj wysepce pod Kopenhagą i zaraz potém wysiedliśmy na ląd tuż pod miastem.

Kopenhaga tak ludna jak Warszawa, ale mniejsza, bo porządniéj zabudowana. Niektóre ulice szerokie, place po mieście obszerne, mosty co wiążą wysepki na których miasto stoi, dosyć gęste. Na placach okazałe pomniki, grupy rzeźbiarskie z ołowiu lub śpiżu, ale tak źle wykonane, że do karykatur podobne. Pewnie to w nie zapatrzywszy się Torwaldsen, uznał, że potrzeba Danii rzeźbiarza i wzniósł swego ducha do utworzenia tylu dzieł, które w odległych wiekach poszanowanie znajdą. Zamków królewskich w Kopenhadze kilka, i takie wielkie, jak paryzkie. Są tam i galerye obrazów, różne muzea i ogromne biblioteki, uniwersytet, a nawet wolność druku; wychodzi i pism czasowych bez liku, atoli, jak się wszyscy zgadzają, o literaturze niema nawet co wspominać. Niemcy, których język jest duńskiego źródłem, sądzą, że dla tego po duńsku snadno im rozumieć, a z tém wszystkiém trzymając się kilku doktorów filozofii Niemców, zrobiliśmy doświadczenie, że nawet o wodę i chleb się doprosić nie umieli i zawsze na migach zakończyli dyalogi, jeżeli się kto nie nadwinął z Duńczyków, co po niemiecku umiał. W ustach duńskich niemczyzna nabywa takiego akcentu, że choć czasem Duńczyk wprawnie mówi po niemiecku, przecież go zrozumieć nie można, a do tego zawsze mięsza swoje wyrazy. Język francuzki bardzo rzadko znany. Po ulicach niektórych dosyć ruchu, we wielu bardzo pusto, ale karet, elegantów i elegantek wcale niemasz. Mody rozumie się paryzkie, lecz u nikogo nie widać, że z ubioru sobie wiele robi; i kto ma świeży kapelusz ten ma starszy frak, a kto frak nowuteńki, ten z dawniejszych lat inne części ubioru. Zgoła redaktorowie pism poznańskich prawie wszyscy mogliby uchodzić za strojnisiów w Kopenhadze. Zapał dla rzeczy narodowych podnosi się coraz bardziéj na drodze oświaty. Dowodem tego głównym zbiór starożytności północnych, który poczyna się od strzał, noży, młotków kamiennych w znacznéj ilości, potém przechodzi do różnych sprzętów i ozdób na szyje, ręce, do orężów, a wtedy rzeczy pomniejsze są ze złota, większe ze śpiżu; daléj dopiero pokazuje się żelazo. Zgoła trzy są oznaczone epoki życia, a możnaby je nazwać, krzemienną, śpiżową, żelazną, która się pokazuje dopiero przed samém już chrześciaństwem. Na czele tego jak wszystkich zbiorów i muzeów, stoi Etatsrath Thomsen i ma znakomitego pomocnika w młodym uczonym Strong; z obudwoma zrobiliśmy znajomość, rozprawialiśmy dużo o najodleglejszych epokach, porównywaliśmy starożytności normandzkie ze słowiańskiemi, i pokazuje się wszędzie prawie tożsamość. Takie same tu młotki kamienne, takie urny z kościami, takie kopce po łąkach, jak u nas; okopów jednakże w Danii i Norwegii nie widać. Napotykają się monety złote rzymskie, ale tylko z 1. wieku po Chr., lecz téż u nas przed 10 laty na polach Maniewa pod Obornikami znaleziono pieniądz z twarzą Nerona. Są nawet tu dosyć powszechne monety kuficzne, które Czacki opisał. Napisów runicznych pełno i Thomsen umie je czytać, lubo często przypuszcza, że są w językach jemu nieznanych i wyrazów nie rozumie. Thomsen pokazywał mi drewna w kształcie łokci kupieckich, ale o wiele grubszych ze znakami, które się zaczynają od wyrzniętéj rękawicy, co znaczy zimę, daléj idzie gęś, która znaczy dzień Śgo Marcina; daléj są trzy korony, to jest święto trzech królów; daléj słońce, czyli porównanie dnia z nocą; pod temi znakami idą kreski, to jest, dnie, tygodnie, miesiące, zgoła te drewna, są to kalendarze. Umiano je zebrać od czasów przedchrześciańskich aż do naszych, bo w okolicach najpółnocniejszych Skandynawii, jeszcze dzisiaj są używane.

Thomsen nagromadził wielkie skarby, utrzymując, że pracując łatwo do nich przyjść można i dziwił się, że my w Poznaniu jeszcześmy się na nic podobnego niezebrali. Thomsena jest zasadą, że do cywilizacyi ludy, prawie wszędzie zawsze jedną i tą samą szły drogą, jakoż to natychmiast udowodniał, albowiem obok wielkiego zbioru starożytności skandynawskich poustawiał małe zbiory starożytności grenlandckich, a nawet starożytności południowéj Ameryki; wszędzie pierwsza epoka była krzemienna, potém złota lub metalów mięszanych i dopiero z żelaza. Radził nam, ażebyśmy po Norwegii odwiedzali

historyków i badaczy starożytności, a nauczymy się wiele rzeczy, których nikt w książce nieznajdzie. Mówiłem mu, że to bez listów polecających trudno, ale mi odpowiedział, że w Skandynawii uczeni z listów nic sobie nierobią, a rozmowa im pokazuje z kim w szczegóły wchodzić mają. Jest to człowiek uczony, prosty, serdeczny, a wielki miłośnik swego przedmiotu. Prawdziwie żal się było z nim rozstawać, a nigdy niebyło mu można wiele czasu zabierać, bo w czasie kilku minutowéj rozmowy czy w jego pomięszkaniu, czy na zamku Christianburg, gdzie jest zbiór starożytności, zaraz w przedpokojach pełno się nagromadziło osób co na niego czekały. Temu wszystkiemu sam podołać niemoże i ma przy sobie młodych uczonych, którzy go wyręczają i gdy z jednym gościem rozmawia, drugich tym czasem zabawiają. Widziałem, że był kontent, iż w minucie rzuciłem mu wiele pytań; on je treściwo pozałatwiał i zaraz ze swemi pytaniami występował, na które jam także tylko punktowaniem odpowiadał. O starożytnościach Litwy ma dobre wyobrażenie i chwalił Tyszkiewicza, który był niedawno w Kopenhadze i który w tym przedmiocie nietylko pisze, ale także znaczny skarb uzbierał.

Wracamy do życia Duńczyków. Jest w tym kraju dziwném zjawieniem, że obok rządu ściśle monarchicznego, panuje wolność druku. Dania kraik niezmiernie mały, ma dosyć miast ważnych i handlowych, a przecież Kopenhaga centralizuje w sobie życie całego kraju, jak stolica tych państw, co to wiąże rozmaite odległe i zamorskie ziemie pod jedno berło; niemasz prowincyi któreby dostarczały funduszów na życie mieszkańcom stolicy, a przecież Kopenhaga lubo jak mi powiedziano dopiero od lat kilku jest tylko w ciągłych zabawach, jakkolwiek niekosztownych: pełno statków parowych, które rozwożą mieszkańców na zabawy w okolicy, pełno i omnibusów takich jak w Paryżu, ale które utrzymują kommunikacye także tylko pomiędzy ogniskami zabaw. Pierwsze w tym względzie miejsce ma ogród Tivoli zaraz przy bramie, z pięknemi drzewami lipowemi, kanałami, pawilonami restauracyjnemi, herbatowemi, cukierniczemi, koncertowym całym ze szkła, sztuk konnych, z karusselami, górami do zjeżdżania na kółkach (Montagne russe). Są tam nawet handle, ale tylko błyskotek i łakoci; jest drobna menażerya, są różne narzędzia do próbowania sił, do ważenia się. Co wieczór zbiera się towarzystwo może z dwóch tysięcy. Za jednę markę to jest prawie 23 gr. polskie, która się składa przy wchodzeniu, można słyszeć koncert, widzi się krótki balet, a do tego sztuki na linie lub inne gymnastyczne. Sztuki zaś konne i różne przedstawione po oddzielnych budach opłacają się oddzielnie. W wieczór ogród prześlicznie kolorowém światłem oświecony: grzmi muzyka koncertowa w pawilonie szklannym i rozlegają się w odległości muzyki przy balecie, przy karusselach, przy sztukach konnych. Kanały zapełniają baciki także w różne kolory ślicznie pooświecane. Wszystkie stany pomięszane, na wszystkich widowiskach jedno tylko miejsce: są tam panowie od dworu i obok nich zaraz kobiety i dziewczyny wiejskie w swoich strojach.

Niedawno byli ludzie na świecie, co powątpiewali, czy chłopi potrzebują umieć czytać, a tu snadno się przekonać, że koncerta, balety paryzkie, teatra mogą się stać potrzebą chłopów i jak oni je swoją wielką liczbą wspierać zaczną, wtenczas sztuki piękne bardzo snadno zakwitną i każdemu z małym kosztem będą dostępne. Unoszenie się umiejętne nad pięknością zastąpi zabijanie czasu po szynkowniach. Ileż zyskują przez to dobre obyczaje, jak moralność pomiędzy ludem wzrastać musi.

(Dokończenie nastąpi.)

Gra w Szachy.

POWIEŚĆ WŁOSKA Z SZESNASTEGO WIEKU.

(Ciąg dalszy.)

Odgłos trąb zapowiedział początek gry, którą kierowali czarodzieje za pomocą lasek czarnoksięzkich. Anastazjo atoli wkrótce się przekonał, że signor Bernardino daleko dokładniéj grał, aniżeli to na próbach okazywał i cieszył się w duchu, że na inne przygotował się kombinacye. Uważał nadto z ruchów i twarzy przeciwnika, że ma zamiar zerwać mu laur z głowy w obliczu cesarza. Gra chwiała się i na tę i na ową stronę. Mechanicznie kroczyły chłopki, w skokach laufry i centaury na miejsca, które im laską czarnoksięzką wskazywano. Mnóstwo ich zbitych z gry wyszło. Bernardino przecież grał ostrożnie, krzyżował obrachunek Anastazego. Walka stawała się coraz żywszą; główne figury zeszły do walki, wtém Anastazjo spostrzega, że król jego, przedstawiany przez Alexandra opuszcza nieznacznie miejsce i stawa na innym przedziale. Widoczna, że Alexandro działał w porozumieniu z swym wujem. Anastazjo rozgniewany tém podejściem, zapowiadającém jemu przegraną, podniósł się ze swego siedzenia, po trzykroć zakręcił laską czarnoksięzką nad jego głową i rozkazał mu pozostać na miejscu. Szmer

powstał na około. Signor Bernardino grał odtąd jak zbity, wkrótce wpadł w matnią zastawioną przez Anastazego i mimo silnéj obrony często oznaczały głosy trąb, że Anastazjo sięga laską koron królowéj i króla przeciwnika. Dobijający nareszcie rozgłos zwiastował zwycięstwo jego nad Bernardino. Poczém Anastazjo na wezwanie giermka stanął przed cesarzem, ukląknął i otrzymał w nagrodę na znak zwycięztwa złoty klejnot, na którym według ówczesnego zwyczaju była szachownica kamieniami drogiemi ułożona.

Sława Anastazego powiększyła się owém zwycięztwem w obliczu cesarza. Najznakomitsze osoby Mediolanu ubiegały się o niego, w kołach dam rozmawiano jeno o pełnym wdzięków mistrzu szachów i opowiadano sobie mnóstwo o nim powiastek prawdziwych, półprawdziwych i zupełnie zmyślonych, a wszystkie na korzyść Anastazego. Kiedy najpiękniejsze z kobiet Mediolanu ubiegały się o jedno słówko jego, o jedno spojrzenie, kiedy kawałek papieru z jego ręki, odrobina ciasta zostawiona na talerzu obudzała zazdrość, on tylko myślał wówczas o swojéj Erminii. Co dzień odwiedzał on jéj wuja, zawsze z uprzejmością był przyjmowany, a nawet Alexandro zdawał się niezważać na jego rozmowy z Erminią. Nakoniec signor Bernardino oświadczył mu, że wraca do Wenecyi ze swymi krewnymi i prosi go do siebie do Wenecyi. Serdecznie przyjął Anastazjo zaprosiny, widząc, że Erminia miłemi oczyma radość z tego powodu okazała, zdawało mu się jednak, że słowo „ostrożność“ zawisło na jéj ustach.

Za powrotem do swego mieszkania, długo namyślał się, dla czego Erminia go ostrzegała. W ówczas uważano Wenecyą za pewien rodzaj lwiéj jaskini, a każdy bawiąc w téj rzeczypospolitéj tak urządzał swe sprawy, aby najmniejsze niepadło nań podejrzenie polityczne. Jeżeli kto niemówił o polityce, o rzeczypospolitéj i rządzie, mógł wszystko robić, co mu się podobało. Nigdzie też więcéj niebyło rycerzy wietrznych i szarlatanów, jak w państwie weneckiém. Anastazjo niewiedział o tém, ale przestroga Erminii uczyniła go bacznym na grożące niebezpieczeństwo. Stanowczych środków ostrożności nie przedsiębrał, poniszczył papiery, tylko cokolwiek o złoto swoje się niepokoił. Dla tego nakupił za nie drogich kamieni opasał ciało niemi, przy boku zawiesił szpadę i ukrył zanadrzem sztylet; tak czuł się bezpiecznym.

Po odjeździe Erminii z wujem i siostrzeńcem, niemiał spokojności Anastazjo w murach Mediolanu. Ani łaski książąt, ani spojrzenia kobiet, ani też złoto kapiące do jego kieszeni, żadnéj dla niego nie miały ponęty. W osiem dni po ich wyjeździe udał się przez Weronę i Padwę do miasta morza, do którego go pociągły miłość i tęsknota.

Ledwo stanął w Wenecyi, pobiegł do signora Bernardino. Mieszkał on w pięknym pałacu nad canale grande. Pale kotwiczne przed pałacem ozdobione były herbem zwanym „cornu ducale“, na znak że z téj rodziny był jeden członek dożą. Dowiedział się wprzody, że wuj Erminii był dumny, bogaty, podstępny, że jego siostrzan stał u mieszkańców w niedobréj sławie. Jakkolwiek zasmucony przybył do pałacu, przyjęcie jednak podniosło jego umysł stroskany. Signor Bernardino nietylko przyjął go uprzejmie jak w Mediolanie, ale nadto prosił aby go co dzień odwiedzał. Anastazjo zaś cieszył się najwięcéj, że mu się nadarzyła sposobność częstego widywania Erminii. Alexander był zimny, zdawał się niepamiętać wypadku na balu maskowym. Anastazjo czuł się uszczęśliwiony, przekonawszy się z ust kochanej Erminii, że ona te same dla niego chowa uczucia, jakie w Mediolanie z nim podzielała. W całym zapale młodzieńczego wieku oświadczył, że prosić będzie wuja, o pozwolenie połączenia się z nią związkiem małżenskim, który jego szczęście na całe życie upewni. Erminia sprzeciwiała się temu zamiarowi. Ja oświadczę, rzekła, memu wujowi, że Alexandra kochać niemogę i niechcę zostać jego żoną. Późniéj powiem mu, że czuje do ciebie przywiązanie i że ty o tém wcale nie wiesz. Tym sposobem można cię od niebezpieczeństw ze strony wuja i siostrzeńca uchronić. A chociaż Anastazjo z początku opierał się, przyznał wreszcie słuszność Erminii i przyrzekł zachować się podług jéj woli.

I tu w Wenecyi podziwiano grę Anastazego, podobnie jak w Rzymie i Mediolanie. Młodzi Signori cisnęli się do niego, a kiedy chodził po Riva dei Schiavoni wszystkie okna zajęte były przez czarnowłose damy, aby popatrzyć na tę giętką kibić młodziana. Anastazjo nieogłosił tu wprawdzie publicznych widowisk swéj gry w szachy, jednakowoż sława go wyprzedziła i odbierał mnóstwo zaprosin. Zwycięztwa które odnosił, mnóstwo mu pieniędzy przynosiły, chociaż się wystrzegał wyższéj gry nad dziesięć cekinów, gdyż to w Wenecyi surowo było zakazane. To postępowanie, niemniéj dobroczynność jaką okazywał dla biednych miasta Wenecyi bardzo go zaleciły w oczach najszlachetniejszych Wenecyan, tak iż pałace senatorów Grimani, Manfrini, Venieri i Pisani stały dla niego otworem. Anastazjo był wprawdzie zadowolonym z ich przyjęcia, najmilsze mu

jednak było towarzystwo signora Bernardino, który go jako przyjaciela domowego poważał. Co dzień też grywał w szachy z Bernardinim, Alexandrem i Erminią, a zawsze o małe stawki lub też o nic, a nawet stawiającemu wyższą summę powiedział, że niemoże na to przystać, aby między przyjaciołmi gra tak wysoko się podnosiła, będąc zawsze pewnym wygranéj.

Z Erminią rzadko w cztery oczy mógł się rozmówić. Zdawało się, że Alexandro ich ani na jednę minutę z oka niespuszcza. Nakoniec udało się jéj szepnąć Anastazemu, że ma zamiar nazajutrz pomówić z wujem i oświadczyć mu, że siostrzeńcowi nieodda swéj ręki.

Anastazjo zaledwie mógł się utrzymać z niecierpliwości, aby usłyszeć z ust Erminii, co powie jéj wuj. Każda minuta była mu dniem, aż nareszcie zbliżyła się chwila, w któréj zwykł odwiedzać pałac signora Bernardino. Z zachodem słońca biegł szybko przez ulicę Riva dei Schiavoni. Chwilę rozmawiał z żeglarzem jednym z Sycylii, który miał wracać do swéj ojczyzny, i wypytywał o zdarzenia w Syrakuzie. Właśnie przeciskał się przez tłumy ludu do jednéj gondoli, która go miała przewieść z piazzetta do pałacu Bernardina, kiedy jakaś stara kobieta nagle do ucha mu szepnęła: Uciekaj signor! jesteś w niebezpieczeństwie!

Anastazjo obrócił się żwawo za starą, ale ta już w ciżbie znikła gondolierów, którzy oblegli go, ofiarując mu swe czołna. Wiedział on, że ludzie ci wszyscy są szpiegami rządu, dla tego unikał wszelkiego podejrzenia i nie szukał staréj kobiety. Siedząc na gondoli, rozmyślał nad przestrogą i niemal był przekonany, że tego figla chciał mu spłatać jakiś młody towarzysz i w dobréj myśli przybił do pałacu Bernardina.

Skoro stanął u progu pałacu, oznajmiono mu, że lubo pan domu jest chory, kazał go prosić do swego gabinetu. Anastazjo nie umiał téj odmiany sobie wytłumaczyć, domyślał się jednak, że Erminia wujowi odkryła swą miłość i dla tego żąda on z nim pomówić na osobności.

Anastazjo nie dojrzał zmiany żadnéj w gospodarzu domu, zdawało się, że Erminia nie mówiła mu o swéj miłości. Bernardino nie zaprosił tym razem jak dawniéj młodzieńca do szachów, ale rozmawiał z nim o rzeczach potocznych. Właśnie chciał zapytać o zdrowie Erminii, kiedy wstał starzec ze swego krzesła i z biórka dobył papier.

Niemal, rzekł z uśmiechem, byłbym zapomniał, po com cię prosił do gabinetu, mimo słabości zdrowia mojego. Wiesz zapewne że jestem senatorem, ale tego nie wiesz, że jestem członkiem rady dziesięciu, i jednym z trzech inkwizytorów państwa.

Rażony jakby od pioruna, nierzekł ani słowa nasz młodzian, wiedział bowiem od Nerego bardzo wiele okropnych rzeczy o tym sądzie straszliwym. Bernardino udał, że nie widzi żadnéj zmiany w duszy Anastazego.

Wiesz zapewne, mówił daléj do niego z największą zimnotą słów, że przy pałacu doży na lewo, zaraz przy wielkich schodach, w ścianie kurytarza znajdują się dwa duże łby lwów z kruszcu ulane, z otwartemi paszczami. Głęboka mądrość rzeczypospolitéj, kazała je przed dawnemi czasy w tém miejscu postawić, aby każdy spisane swe zażalenia, doniesienia, bez podpisu kładł w paszcze te, i mógł być pewien, że rozporządzenie nastąpi stósowne. Patrz teraz młody mój przyjacielu, oto znaleziono tę denuncyacyą przeciwko tobie dziś zrana.

Anastazjo przeraził się niezmiernie. Słowa: rada dziesięciu, lwie paszcze, denuncyacya, odebrały mu przytomność. Zémiło mu się przed oczyma, ale wkrótce przyszedł do siebie i udawał zupełnie spokojnego człowieka. Czyta zaskarzenie na siebie, jako na niebezpiecznego człowieka, który pod przybraném nazwiskiem, wkrada się do zaufania młodych nobilów i wyłudza zdradzieckim sposobem w grę w szachy od nich pieniądze.

Widzisz mój przyjacielu, rzekł Bernardino, odbierając papier od Anastazego, skarga nie ma wielkiego znaczenia, pochodzi zapewne od człowieka, który stracił do ciebie parę cekinów i ma zamiar zemścić się za to; ale trzeba się tu jednak wytłumaczyć. Łatwo to zapewne uczynisz i to przedemną, bo lepiéj, aniżeli w obec rady dziesięciu, gdyż tam mnóstwo jest podejrzliwości, trzeba dowodów, a tu od razu ukończysz.

Z całego serca dziękuję ci mój drogi panie i przyjacielu! zawołał Anastazjo, ściskając rękę Bernardina.

Nie warto mówić, przerwał mu tenże. Uczyniłbym dla ciebie daleko więcéj, ale u nas urzędników, musi być forma zachowaną.

Oczywista! zawołał Anastazjo — co mam czynić?

Skarga dotyczy dwóch rzeczy, mówił daléj Bernardino: naprzód twojego nazwiska, a potém gry twojéj. Co do pierwszego, możesz mi tylko doręczyć świadectwo chrztu, gdzie napisano, że ty jesteś prawdziwym Anglikiem Sir Anastazjo Boy.

W rzeczy saméj przyznać muszę, odrzekł młodzieniec zatrwożony, że niemam podobnego świadectwa, nie myślałem....

Żeby to była potrzeba? dodał starzec. O, to źle, bardzo źle. Zresztą, któż pamięta o wszystkiém! Możesz się o nie postarać et caetera. Wszystko pójdzie jak najlepiéj. Co do drugiego, co do gry, oszukaństwo jest ciężką zbrodnią podług praw naszych. Do tego dodać należy, że jesteś przekonany, iż zawsze wygrasz; mówiłeś to do mnie i do mojego siostrzeńca i tak téż tu napisano w denuncyacyi. O mój młody przyjacielu, to jest bardzo źle, nieostrożnie, przeląkłem się, słysząc te słowa od ciebie. W grze jest podobieństwo wygrania lub przegrania, lecz jeżeli jestem przekonany, że mój przeciwnik przegra, a zatém nigdy nie wygra. Przeciwnik może stawiać się i ciągnąć jak chce, zawsze mu pieniądz odbiorę, nie narażając się sam na przegraną, a to jest oszukaństwem.

Przebacz Signor! zawołał Anastazjo zaczerwieniony, nie można nazwać oszustem trafnego obrachunku kombinacyi pewnych. Mój przeciwnik może je odkryć, rozwiązać, kiedy się tego podejmuje, a następnie i wygrać i dla tego powiedziałem tylko, że zawsze wygram, kiedy wystrzegać się będę zmięszania mnie przez przeciwnika.

Zapewne! zapewne! tak myślałeś, rzekł Bernardino kiwając głową na znak przychylności. Ale w obliczu prawa, mój kochany młody przyjacielu, niemasz myślenia, tu trzeba dowodzić i dobrze dowodzić. A więc musisz dowodzić.

Jak? w jaki sposób? zapytał Anastazjo pomięszany.

Najłatwiejszym, najprostszym w świecie sposobem! odrzekł Bernardino. Napiszesz na papierze obrachunki i kombinacye, których używasz w grze swojéj i podasz mi na dowód tłumaczenia się twojego. To okaże, że nie jesteś rzezimieszkiem, ani oszustem, tylko błądzącym w dobréj wierze. Mając to na uwadze, wydam rozkaz — jest to tylko czcza forma, nic więcéj — abyś natychmiast opuścił granice rzeczypospolitéj. Trudno inaczéj cię uwolnić, tyś jest cudzoziemiec, twoi przeciwnicy są Wenecyanie, a podejrzenie mówi przeciwko tobie. Jutro wyruszysz równo ze dniem i rzecz się tym sposobem załatwi.

Anastazjo oburzył się tą mową Bernardina.

Jakto? zawołał. Ja mam być za oszusta poczytany? Oświadczam, że ani tajemnicy nie wydam gry mojéj, ani się pozwolę wyrzucić za granicę państwa bez sądu i wyroku.

Odwołujesz się więc do rady dziesięciu, odrzekł senator zimno. Nikt ci tego zabronić nie może. Tém lepiéj, nie biorę przeto odpowiedzialności na siebie, za wypuszczenie ciebie bezkarne. Mimo to jednak, obawiam się mój kochany młody przyjacielu, jako stary praktyk, aby rada wysoka nie uznała twéj gry za oszustwo, gdzie jeden zawsze wygrywa, a drugi koniecznie przegrać musi, i aby cię kilkoletniém nie ukarało więzieniem. Masz przeto zupełnie wolny wybór, rób co ci się podoba. Z resztą dopiero jutro w nocy odpowiadać będziesz przed sądem, a tymczasem możesz się namyślać.

Dobrze, użyję tego czasu do namysłu, odrzekł Anastazjo z gorzkim wyrzutem, oburzony aż do żywego zimnotą starca. Pozwól niech się teraz oddalę.

Wybacz mój dobry kochany i młody przyjacielu, odparł Bernardino, nie mogę na to sprawiedliwe żądanie zezwolić, gdyż w téj rzeczy postępować muszę, nie tylko jako przyjaciel, ale nawet jako urzędnik. Jest to zwyczajem uświęcone, aby oskarzony pozostał tak długo w więzieniu, dopóki nie dowiedzie swéj niewinności.

(Dokończenie nastąpi.)

Przegląd dzieł George Sand.

(Dokończenie.)

Wszystko co George Sand rzuciła, jakby w rysunku w swoich dziełach: od Indian aż do Le compagnon du tour de France, daje nam wypełnione kolorytem w obszernym obrazie, powieści Consuelo, i drugiéj jéj części pod tytułem La comtesse de Rudolstadt. Jak tam były te myśli pokrajane i rozwijające, tak tu je autorka oddaje w całéj pełni, w syntezie.

Pierwszy jéj ideał, miłość indywidualna, ukazuje się tu pod natchnieniem najczystszego uczucia; cicha, wzniosła i któréj ziarnko już leżało w Jakóbie, a która ma być wieczną, nieskończoną. Ale autorka zwątpiła, czy w dzisiejszych stosunkach można jéj śmiało nadać charakter, rzeczywistość i dla tego małżeństwo Consuelo i Alberta odziewa tajemniczością, aby tam żyć mogli własném życiem i całą wielkością serc, do jakiéj wzrośli.

Czyż może być szczytniejsze pojęcie małżeństwa jak w tej powieści, w słowach co słyszymy z ust Wandy błogosławiącéj Albertowi i Consuelo małżeństwo, tu pojęte na podstawie czystéj duchowéj miłości, która pył ziemski otrząsnęła z swéj białéj szaty: „uświęcajcie, mówi, połączenie małżeńskie przez napomnienie, przez modlitwę, przez jawność i rzewność ceremonii, bo to je podnosi w szacunku i świętości.“ A dalej kończy: „jakąż siłę przydaje człowiekowi małżeństwo, które samo przez się już jest cudem, boć niewątpliwie dwie wole, zlewając się z taką radością

w jednę, są cudem, kiedy każda dusza podług praw odwiecznych jest sama w sobie wolną. Jeżeli więc dwie dusze łączą się przez miłość i wolę, ich węzeł tak jest świętym i nierozerwalnym, jak wolność ducha człowieczego.“ Potém mówi jeszcze: że na takie wieczne połączenie dusz, potrzeba małżonków godnych téj wzniosłéj instytucyi, a wtedy nic jéj nie naruszy, bo wiadomo, że nie prawa stanowią obyczaje, tylko obyczaje prawa.

I religią, jaką autorka pojęła w przyszłości, ukazuje nam w całéj pełni w Rudolstadzie, opartą na miłości i myśli ogarniającéj wszystkie warunki życia.

Consuelo, to powieść życia artystów, w któréj tak żywo skreślone ich wewnętrzne walki upadku i wzniosłości, ich szczęście i troski, radości i smutki, płynące ze źródła czysto duchowego jak natchnienie, które ich drodze przyświeca. Lecz kto z nich zatraca czystość swego serca, kto się nurza w kale materyalizmu, z którego bardziéj niż inni ludzie był usamowolniony, ten się strąca niżéj jak wszyscy, i już nie stworzy boskiego ideału, ale tylko skalane odbicie ducha swego, w którym zatracił nieskończoność. Jak Consuelo to prawdziwe uosobienie uczucia piękna, dobrał się skarbu wielkiéj mądrości drogą artystyczną, tak Corrilla i Anzoleto, są ci aniołowie strąceni do piekieł z raju piękności. Nie zatracili pamięci światła, którém raz byli opromienieni, ale jego uczucie postradali na wieki, chyba je czasem zazdrość rozbudzi i rozjaśni swoją szatańską pochodnią.

Albert ten duch potężny, żyjący przeszłością swéj ojczyzny Czech, któréj w siebie wcielił wszystkie bóle i wielkości, a przepaść jego cierpień tak głęboka, i szczytność wielkości tak wysoka jak całego narodu razem. Czyż może być wznioślejsze pojęcie miłości ojczyzny? To uczucie w Rudolstadzie wyrosłe na obszerniejsze jeszcze, bo na bezpośrednią miłość całéj ludzkości.

Lecz któż z polskich czytelników, wziąwszy do ręki te dwie powieści George Sand, nie powita radośnie kwiatu wyobraźni poprzednio wzrosłego na naszéj niwie? któż mu się nie ucieszy, że tu znów świeży i piękny, bo zwilżony rosą jenialności. Chcę tu mówić o królu zamczyska Goszczyńskiego. Czyż Albert nie Machnicki? A zamek Odrzykoński czy nie Schrekenstein? Ale Albert szczęśliwszy od Machnickiego, bo jego słowa nie padają na zimny kamień Schrekenstein, lecz na młode serce jego syna, w którym już błyszczy iskra ducha ojcowskiego. Wszak nam nie obca i ta muzyka męża pięknéj cyganki, kiedy ujął za skrzypce, a z pod jego smyczka lały się tony tak czarowne, że wniknąwszy do dusz jego prostych słuchaczy, to je nastrajały na nutę wielkiéj przyszłości narodu, to znów zbudziły boleść, że naraz zacierpieli wszystkiémi ranami ojczyzny. Ale co za radość, co za szczęście, kiedy im zagrał pieśń, bliskiéj wolności wszystkich ludów!... któż tu nie poznał Strasznego Strzelca Goszczyńskiego, grającego Juhasom przy ognisku, wszystko co Polska przewalczyła, przecierpiała aż do dni naszych. Jego pieśń była tak potężna i twórcza, że tu cała przeszłość podniosła się ze spoczynku i stanęła żywa przed duszami słuchaczy, a oni ją poznali od razu, zrozumieli wszystkie jéj słowa, i uczuli, że jéj życie jest ich życiem. *) Ten jest ostatni punkt, który przebiegła w swoich utworach George Sand. Pominęliśmy niektóre prace, jako nie noszące żadnych wybitniejszych śladów rozwoju jéj myśli: są to utwory chwil, w których duch autorki szuka wytchnienia, myśli krążą w około tego co je otacza — złote sny wyobraźni swoją własną siłą przeprowadzają przed jéj oczyma widma pełne wdzięku lub smutku, nie snuje ona ich z głębi swego ducha, lecz sprowadza, przelatując otaczającą ją atmosferę. W takiém usposobieniu napisany anielski romans Andre, rozrzewniający episod Maîtres mosaistes, jeden obraz z życia rodzinnego w dramacie Cosima, a nakoniec powieść Jeanne, gdzie widzimy: że miłość jest tajemnicą, którą Bóg dla siebie zachował. Budząc ona się w sercu poczuwa nieskończoność, bo zapytaj kochanków czy chcą do siebie należeć, a oni odpowiedzą z zapałem: na wieki! na wieki!

Przechodząc dzieła George Sand, staraliśmy się trzymać wątku myśli, na których są głównie nasnute i widzimy pod rozmaitémi przedmiotami zawsze jedno dążenie. Powieścio-pisarz równie jak poeta, powinien objąć obyczaje, charakter, rozum wieku, w którym żyje, powinien to wszystko podnieść, wyjaśnić, uszlachetnić i podać drugim jako zwierciadło, w którémby myśl wieku wybijała. George Sand odpowiedziała w swoich pracach tym wszystkim zadaniom, jéj utwory są zapewnione w przyszłości, nie tylko jako pomniki literatury, ale jako żywe obrazy ducha swego czasu, rozpaczy, niepewności, nadziei, wiary, a nakoniec silnéj ufności w przyszłe szczęście na téj ziemi. Ostatnie lat piętnaście, były polem tych wszystkich walk ducha.

C***

*) George Sand nie są obcemi ważniejsze utwory naszéj literatury, jak to widzimy z jéj porównania w la Revue des revues 1838. Fausta, Manfreda i Dziadów.

ROZMAITOŚCI.

— Z Poznania. — „Roku 1845.“ wyszedł poszyt VII. i zawiera: 1) Rzut oka na żywioły potęgi i znaczenia w polityce obecnych państw europejskich. 2) O rozwijaniu się stosunków socyalnych pod wpływem przemysłu i pracy. (Dokończenie). 3) Jezuityzm odrodzony przez E. K. (Dalszy ciąg). 4) O dążeniach dzisiejszego czasu przez D. 5) Kilka słów o jedném tylko kriterium poezyi. 6) Rozbiór krytyczny dzieła Karola Libelta pod tytułem „Filozofia i Krytyka“ przez J. Zielonackiego. 7) Rozmaitości.

— Łatwa jest rozmowa ze Szwedem. Pewien podróżny donosi ze Skandynawii, że znając pewną czarodziejską formułę, można nią wszystkie głębie uczucia odmalować; kochać, nienawidzić, kląć i błogosławić, być satyrycznym i dobrego serca, a nawet jeniuszem. Ważne to i czarodziejskie słowo jest: *Ja so!* które ile możności długo przeciągają. Trzeba Szwedów podziwiać, jak umieją te dwie syllaby w tysiącznych dźwiękach modulować. Jeżeli usłyszą jaką wesołą nowość, natenczas z szybkością i zapaloném okiem wołają: Ja so! Jeżeli zaś co smutnego, opuszczają głowę i odmrukują po małéj chwili z boleścią: Ja so! Jeżeli co ważnego im kto opowiada, z namysłem przeciągają swe: Ja so! Słysząc żarcik jaki, natenczas przytakują swém wesołém: Ja so! A nakoniec, jeżeli im kto kłamstwo zadaje, wymawiają ironicznie: Ja so!

MODY.

Paryż, dnia 5. Sierpnia 1845.

W wielkim składzie rzeczy modnych widzieliśmy mnóstwo nowości, które przeznaczone były do odesłania do kąpieli francuzkich i niemieckich np. między innémi suknie na przechadzkę w kolorze kurzawy, z kitajki biało-niebieskiéj lub też połyskującéj, sposobem szlafroczka robione ze sztywnym stanikiem, otwartym nisko i z wyłogami szalikowémi, strojnémi fręzlą niekręconą; rękawy obcisłe, greckie, u dołu wązkiémi wyłogami, orzuconémi niekręconą fręzlą i guziczkami ozdobione. Pod stanikiem półkoszulcze amazońskie z maleńkim kołnierzem wyłożonym. Do sukni téj należał kapelusz ściągany z zwieszającémi się piórami, parasolik z trzonkiem z słoniowéj kości, szal mantylowy z kitajki lśniącéj, bóciki z angielskiéj skóry i szwedzkie rękawiczki.

Na wyjście przedpołudniowe otwarte szlafroczki z wełnomuślinu lub bareżu z przepaską o długich końcach i z stanikiem we fałdy ułożonym i półobszernémi i półdługiémi rękawami, z pod których wyglądały białe podrękawki.

Między fantazyjnémi ubiorami wpadła nam w oczy suknia z kitajki włoskiéj, z wyłogami i falbanami z czarnych koronek; szlafroczek z indyjskiego muślinu całkiem zahaftowanego, ozdobiony falbanami, wyłogami, żokejami i mankietkami z koronek; inny szlafroczek z niebieskiego, lśniącego grodenaplu, ze sztywnym napół wyciętym stanikiem, ozdobionym odpowiednią bertą we wodę ułożoną z téj saméj tkaniny, krótkie rękawy, powłoka długa i obszerna, nie orzucona niczém; nakoniec szlafroczek markizowy z fijołkowego jedwabiu w paski wrabiane, stanik obcisły, zapięty na guziczki, obcisłe rękawy i okrągłe poły na około przepaski; szeroki pasek aksamitny, ciemniejszy od sukni przechodził od szyi aż do dołu sukni, a na nim rząd nadzwyczaj dużych guzików markassitowych.

W nowym cyrku zwanym hippodrome, postrzegliśmy niedawno temu pięknie ubraną damę; suknię miała na sobie z różowego muślinu z sześciu wyciętémi w zęby falbanami, obrzeżonémi wązką niekręconą fręzlą, przytém szal na niéj długi w zielone i różowe paski, a na pięknych włosach kapelusz słomkowy z girlandą róż i białych gwoździków.

Inna dama miała szlafroczek kitajkowy na sobie w kolorze lapislazuli zwanym, zapięty z przodu podwójnym rzędem grubych guzików z perłowéj macicy i stanik u niego z wyłogami w kształcie kamizelek męzkich. Wyłogi te zdobne były wązką niekręconą fręzlą.

Tak zwane kapelusze owczarek bardzo się upowszechniły, a szczególniéj po wsiach.

Włosy często widzimy w pasy napół wypukłe lub w kształcie wałkowatym. Loki angielskie pięknie zdobią blondynki, i nie łatwo pójdą w zapomnienie. Inny strój włosów stanowi długa plecionka, która przez włosy gładko uczesane lub loki na przodzie czoła przechodzi.

Objaśnienie ryciny.

1) Krótki surdut. Kolorowy krawat; długa kamizelka balowa; pantalony w pasy.
2) Kapelusz atłasowy z piórem słaniającém się; suknia jedwabna muślinowa z falbanami.
3) Strój głowy. Suknia muślinowa.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*